

SEBASTIAN
MARKIEWICZ

NIEUDOLNI



Sebastian Markiewicz

NIEUDOLNI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-64-8

Copyright © Sebastian Markiewicz

Projekt okładki: Dmitrij Miłowanow. Znajduje się na niej fotografia dworca autobusowego w Lublinie – w tle Zamek Lubelski – którą wykonał w 2011 roku artysta fotografik Grzegorz Pawlak.

Wszelkie podobieństwa bohaterów występujących w tej książce do rzeczywistych osób są całkowicie przypadkowe.



Sebastian Markiewicz (foto: Andrzej Lange, rok: 2023)

1. Lublin, rok 2018, październik

Biegący chodnikiem przy ulicy Doświadczalnej Dariusz Cieplicki spojrzął na zegarek. Gdzieś tu, na wysokości pętli autobusowej przy „Stokrotce”, powinno stuknąć sześć kilometrów. Jest. Do końca dzisiejszego spokojnego biegu jeszcze cztery. Spojrzął na tempo. Nie jest źle. Po raz pierwszy od dobrych dwudziestu lat konsekwentnie realizował postanowienie noworoczne. Dzięki bieganiu, pływaniu, jeździe na rowerze oraz umiarkowaniu w jedzeniu i picciu udało się w ciągu pół roku zrzucić dwadzieścia jeden kilogramów i zmniejszyć obwód pasa o dobre kilka rozmiarów. Zaczynał się już mieścić w ubrania kupione kilka lat temu, skończyły się męczarnie przy wiązaniu butów czy wejściu na drugie piętro. Do dawnej, młodzieńczej formy nigdy już zapewne nie wróci z uwagi na proste prawa biologii – czterdziestopięcioletni organizm nie może się przecież równać z dwudziestoletnim, należącym do półprofesjonalnego piłkarza z trzeciej ligi. Dobre jednak to, że – przynajmniej teoretycznie – oddali od siebie ryzyko przedwczesnego zawału i kilku innych chorób, a przy jeszcze większym samozaparciu znów będzie mógł nad Zalewem Zemborzyckim demonstrować sześciopak, a nie kega, jak przez ostatnie lata.

Z Doświadczalnej skręcił w aleję Witosa. Tutaj trasa prowadziła wąskim wałem nad ulicą. Z lewej strony krzaki ciągnące się aż do Dekutowskiego, przesłaniające z początku pola, potem akademiki Uniwersytetu Przyrodniczego. Z prawej – wylotówka z Lublina. Znał tu każdą dziurę w wąskim chodniku. Na tym odcinku wpatrywał się w numery rejestracyjne aut wyjeżdżających z Lublina i wyławiał te spoza województwa lubelskiego, starając się odgadnąć, skąd pochodzą. Zazwyczaj trafiał się jeden albo dwa samochody z numerami, których pochodzenia nie znał, więc dla uzupełnienia wiedzy sprawdzał potem w domu, z jakiego są powiatu.

Przebiegł skrzyżowanie z Dekutowskiego i wbiegł w pas zieleni, oddzielający teren należący do Policji od trzypasmówki Witosa. To był jego ulubiony odcinek na tej trasie. Namiastka lasu w środku miasta. Wąska dróżka wijąca się przez kilkaset metrów pomiędzy rondem a wjazdem do podziemnych parkingów centrum handlowego Felicity. Pachniało dojrzałymi mirabelkami, co zwiastowało szybki koniec lata. Nad jednym nie mógł zapanować od czasu, gdy rozpoczął odchudzanie – nad nagłym parciem na pęcherz. Wiek ma swoje prawa... Żona od dawna namawia go, by poszedł na badania, ale kto by tam słuchał baby... Od dobrych kilku minut czuł nieodpartą chęć wysikania się, skorzystał więc z okazji i podbiegł pod płot, by nie bez satysfakcji naszczać na policyjny teren, tak pilnie przecież strzeżony. Gdy sikał, jego wzrok natrafił na leżący nieopodal kształt, który przypominał ludzkie ciało w pozycji embrionalnej. Zapadał już zmrok, a biegał bez okularów korekcyjnych, pomyślał więc, że to jakieś szmaty lub worki porzucone przez pijaków, którzy lubili raczyć się tutaj w letnim okresie piwkiem i winkiem, za nic mając to, że za płotem rezyduje kilkuset policjantów. Z ciekawości podszedł jednak zobaczyć, co to jest. Pod płotem leżała, zwinięta w kłębek, młoda kobieta o ładnych rysach twarzy. Miała zamknięte oczy.

– Proszę pani! Halo! Proszę pani! – powiedział Dariusz. Nie doczekawszy się odpowiedzi wyjął z pasa biodrowego telefon, po czym zadzwonił na pogotowie i policję.

*

Krzysztof Grzegorzewski krzątał się na zapleczu swojej restauracji w centrum Lublina i liczył utarg. Od kilku dni ruch był spory, jak na tę porę roku – sezon wakacyjny się skończył, jednak festiwal muzyki jazzowej, który trwał od kilku dni, napędzał mu klientelę żądną ciekawych smaków. Kaukaska kuchnia, którą serwował, nie miała sobie równych w mieście – przynajmniej w jego opinii, bo zdania smakoszy i szerszej opinii publicznej nie były w tej kwestii zgodne. Zbliżała się północ, wydawał ostatnie polecenia pomocom kuchennym,

zatrudnionym na umowy śmieciowe na najniższą stawkę godzinową. Podzielił utarg gotówkowy – większą część schował do portfela, kilkaset złotych w drobniejszych nominałach zostawił w kasie, żeby było jutro z czego wydawać resztę, gdy lokal otworzy swe podwoje. Niezjedzone, a niezabrudzone resztki ryżu i ziemniaków tradycyjnie kazał zsytać do garnków, by podać je gościom nazajutrz. Tak samo rzecz się miała z nieruszonymi z różnych względów szaszłykami – kelnerki schowały je do lodówki, jutro zostaną odgrzane i podane klientom. Z niedopitych butelek i kieliszków wódki udało się wycisnąć niemal całą półlitrowkę, po dodaniu odrobiny wody będzie jak znalazł. Nie na darmo stara szkoła mówi, że dobry barman jest w stanie z pół litra wódki zrobić trzynaście pięćdziesiątek. Zlewki z butelek po „gruzińskim” winie, robionym w byłej wytwórni napojów winopochodnych u znajomego pod Biłgorajem, pozwoliły na uzyskanie dodatkowych dwóch butelek na jutro.

Jego syn, Aleks, kończył wpisywać entuzjastyczne komentarze na fanpage’u restauracji, głośniąc się nad wymyśleniem dwunastego dziś fejkowego imienia i nazwiska gościa, który jakoby zachwalał menu, obsługę i klimat miejsca. Nieprzychylnych komentarzy, które też się pojawiały, nie kasował, by całość zachowała pozory wiarygodności. Ciekawe, czy ktoś, przeglądając stronę, zastanowił się nad tym, że zdjęcia profilowe osób przedstawiają zazwyczaj krajobraz, deseń tkaniny, zwierzaka lub roślinę, a jeśli pojawiała się postać ludzka, to zazwyczaj tyłem albo artystycznie zdeformowana tak, że rysy twarzy były nie do rozpoznania.

– Dużo ci jeszcze zostało?

– Już kończę. Ja mogę iść, nie wiem jak ty.

– Jedziemy. Dziewczyny zamkną wszystko.

Wsiedli do wziętego w leasing BMW, o którym młody Grzegorzewski marzył od dawna. Prawo jazdy miał już wcześniej, kilka miesięcy temu zdał maturę, po czym zgodnie z rodzicami stwierdzili, że na tym etapie edukację może zakończyć. Bo też co mogą mu dać jakiegokolwiek studia? Znajomość języków? Zna co najmniej cztery. Umiejętność prowadzenia firmy? Praktycznie od urodzenia uczestniczył w każdej działalności swoich rodziców. Programowanie? W małym palcu; w podstawówce, gimnazjum i liceum zaginał każdego nauczyciela informatyki na pierwszej lekcji, dzięki czemu miał spokój do końca roku. Wiedza politechniczna go nie interesowała, nie zamierzał być architektem, budowniczym mostów ani fizykiem jądrowym. A już za zupełny idiotyzm uważał studiowanie takich kierunków jak etnografia, wschodoznawstwo (o tym akurat coś wiedział) czy ochrona środowiska. Jak bardzo przydatne jest wyższe wykształcenie w Lublinie, wiedział najlepiej, gdy przyjmował do pracy na zmywak u ojca kolejną osobę, która dyplom KUL, UMCS, UP lub którejś z licznych lubelskich prywatnych uczelni musiała schować głęboko, by nie zachłapać go pomyjami na zapleczu ojcowskiej restauracji. O księgowości pojęcia nie miał, ale nie było problemem znalezienie wykwalifikowanej księgowej z doświadczeniem za najniższą krajową. Albo na staż z Urzędu Pracy – ojciec wylapywał każdą taką okazję dzięki zaprzyjaźnionemu urzędnikowi, który dorabiał u niego po godzinach. Oczywiście, za najniższą stawkę godzinową, na umowę zlecenia.

– Cholera jasna, znowu dali ciała – powiedział starszy Grzegorzewski, dziubiąc palcami po ekranie smartfona. – Półmaraton w Krasnymstawie – chuj. Wygrał ten od Kowalewskiego. Nasi byli od drugiego do piątego łącznie, ale tam psie pieniądze płacą. Dycha w Biłgoraju – wysiadali nas ci od Michałoszczaka – nasz najlepszy na trzecim. To ja nie wiem, czy pięćset złotych z tego będzie. Za dojazd się ledwo zwróci. Kurwa mać, od jutra przechodzą na zmywak. Skończyło się dolce vita na koszt pana Krzysztofa. Koniec. Koniec! Trener też wypieprza. Drugi miesiąc bez żadnej wygranej.

– No a ten bieg charytatywny w Leżajsku? – dopytywał Aleks.

– Tam pojechało dwóch. Wygrali, ale jak sam zauważyłeś, bieg był cha-ry-ta-tyw-ny. Wysłałem tam tych dwóch melepetów po kontuzjach, co oni tam mogą wygrać? Skrzynkę

piwa Leżajsk? Pluszowe misie dla domu dziecka? Nie, kurna, ja się za nich wezmę. Ja ich wezmę do galopu.

– Galop to za mało, jak widać... – próbował rozładować napięcie Aleks i nieoczekiwanie się to udało, bo ojciec zaniósł się serdecznym śmiechem.

Pośród rozlicznych zajęć Krzysztof Grzegorzewski był *de iure* managerem, a *de facto* właścicielem, panem życia i śmierci dziesięciu kenijskich biegaczy. Teraz trochę wyrzucił sobie, że zbyt późno zabrał się za tę działalność, która miała być żyłą złotą, lecz okazała się interesem przynoszącym niewielkie zyski. Wziął się za to prawdę mówiąc nieco za późno, gdy rynek kenijski był już mocno wyeksploatowany. Nasuwa się tu analogia z piłkarzami, których w pewnym okresie sprowadzały z Ameryki Południowej polskie kluby. Skauci piłkarscy bogatych zachodnich klubów wynajdowali perełki na boiskach najlepszych lig Argentyny, Brazylii czy Urugwaju; przedstawiciele europejskich średniaków brali takich właśnie średniaków, a polscy właściciele klubów ze względu na ograniczone budżety i słabe rozeznanie ściągali do polskiej ligi w zasadzie każdego, kto miał dwie nogi i potrafił kopnąć prosto piłkę do przodu, a czasem ją nawet podkręcić, choć nie zawsze w tym kierunku, który był w danym momencie pożądanym. To i tak wystarczało, by umiejętnościami technicznymi przyćmić rodzimych kopaczy; za mało to było jednak, by podbijać europejskie salony piłkarskie – polskie drużyny klubowe jak były na dnie, tak na nim tkwią. Podobnie było ze sprowadzaniem Kenijczyków przez Krzysztofa Grzegorzewskiego – naczał się statystyk, że na sto osiemnaście maratonów rozegranych w ciągu ostatniego roku w Polsce Kenijczycy wygrali sto sześć, zwietrzył więc dobry interes. Wybrał się zatem z rodziną na obiecane od dawna safari w Kenii. Sam raczej nie ruszał się z miejsca, gdy nie miało to przynieść żadnego zysku. Rodzina się ucieszyła, że wreszcie spędzą trochę czasu razem poza domem. Płonne to jednak były nadzieje – gdy żona Krzysztofa, Manana, pojechała z Alekssem i jego siostrą Dianą na trzydniowe safari, on już załatwiał interesy w restauracji Tamarind przy Karen Road. W spotkaniu udział brały cztery osoby: Grzegorzewski, jego dawny znajomy jeszcze z czasów Stadionu Dziesięciolecia, Marek Giryło, który akurat pełnił zaszczytną funkcję Konsula RP w Nairobi, zaproszony przez Giryłę przewodniczący Kenya Running Association oraz znajomy Grzegorzewskiego, lubelski potentat na rynku odżywek sportowych, Marcin Zych. Grzegorzewski wyłożył sprawę jasno: potrzebuje dziesięciu dobrych biegaczy, którym opłaca koszty uzyskania wizy, przelot do Polski, pracę w jego firmie na etacie sportowca (oczywiście za minimalne wynagrodzenie ustawowe), dach nad głową i trenera. Z każdej wygranej w biegach sportowiec może sobie zostawić pięćdziesiąt procent (rzecz jasna po spłaceniu kosztów przelotu i wizy), on zaś, pracodawca, bierze czterdzieści. Dziesięć dostaje trener, któremu będzie zależało na dobrym przygotowaniu zawodników, bo i on będzie zarabiać najniższą krajową.

Marcin Zych długo czarował przewodniczącego zaletami oferowanych przez jego firmę preparatów, w pełni legalnych, które zwiększają objętość płuc, wytrzymałość mięśni, przyspieszają regenerację organizmu i redukują katabolizm powysiłkowy. Pokazywał wykresy, wyniki badań i wypowiedzi białych biegaczy. Proponował darmowe próbki i stałą zniżkę dla Kenijskiej Federacji Biegowej, przy zakupie odpowiedniej ilości. Przewodniczący słuchał, słuchał, aż w końcu powiedział, uśmiechając się delikatnie:

– Chce mi pan powiedzieć, że nasi sportowcy dzięki tym świństwom będą biegać jeszcze szybciej? Szanowny panie, to niech oni się nie trują. Bo jeśli u was wszycy, jak pan twierdzi, to zażywają, a nikt nie jest w stanie nawiązać walki z naszymi chłopcami i dziewczętami, to niech może lepiej tak pozostanie.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, Zych poczuł się spostonowany, Grzegorzewski z Giryłą przestali przeliczać swoją działkę na tym interesie, przewodniczący zamoczył usta w kieliszku z winem i kontynuował:

– Dla pana natomiast – zwrócił się do Krzysztofa Grzegorzewskiego – mam propozycję następującą. Powiem szczerze – w chwili obecnej podaż nie jest najlepsza. Rynek jest tak wydrenowany, że obawiamy się, iż za kilka lat to nie nasi reprezentanci będą zdobywać mistrzostwa świata i olimpijskie w biegach długodystansowych. Owszem, oni się będą stąd wywodzić, ale będą biegać pod innymi flagami, bo obecnie wyjeżdżają już czternasto-, piętnastolatki. Oni będą biegać, jeśli nie w barwach państw poważnych, gdzie droga do uzyskania obywatelstwa nie jest prosta, to w reprezentacjach jakichś, za przeproszeniem, Katarów, Bahrajnów czy tego typu państw, które stać na wszystko, a których obywatelom nie chce się przejść piechotą stu metrów do sklepu, nie mówiąc już o bieganiu. Wskażę panu jednak dziesięciu siedemnasto–osiemnastolatków, którzy wygrali mistrzostwa w poszczególnych hrabstwach naszego kraju; zapewniam, że każdy z nich bije na głowę waszych mistrzów krajowych. W kategorii seniorów, rzecz jasna. I bez specyfików, które łaskawy pan raczył chcieć mi sprzedać. Ci zawodnicy jeszcze są tu, w Kenii, ale myślę, że niedługo, więc macie panowie szczęście.

Znów zapadła cisza. Przewodniczący raz jeszcze upił łyk wina i mówił dalej:

– Za wskazanie tych nazwisk oraz szybkie skompletowanie dokumentów potrzebnych dla – spojrzał na Giryłę – nie potrzebuję wiele. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wieczne pióro w kolorze złotym, przysunął sobie serwetkę i napisał na niej kwotę wyrażoną nie w szylingach kenijskich, a w walucie, w której transakcji dokonuje cały niemal świat.

Na czoło Grzegorzewskiego wystąpiły krople potu, bynajmniej nie z gorąca, gdyż sala była klimatyzowana. Tak reagował jego organizm zawsze, gdy koszta okazywały się wyższe niż przewidywał, a zwoje mózgowo analizowały naprędce, czy wchodzenie w interes się opłaca. Dostawał przy tym ataku duszności.

– Jak pan sobie to rozliczy – ja nie wnika. Ale zapewniam, że chłopcy szybko to odrobiją – dodał spokojnie przewodniczący. Grzegorzewski otarł pot z czoła, powachlował się chusteczką i zgodził się na propozycję.

W dwa tygodnie później dziesięciu obywateli Kenii, według danych w paszportach – pełnoletnich, zaopatrzonych w świeże dokumenty świadczące, iż będą wykonywać pracę, a pracodawca nie znalazł na ich miejsce nikogo spośród bezrobotnych zarejestrowanych w Urzędzie Pracy, wylądowało, po przesiadce w Stambule, na warszawskim Okęciu. Tam czekał na nich Aleks Grzegorzewski, który bussem znanej firmy kursującej między Warszawą a Lublinem zawiózł ich do Lublina, a następnie zakwaterował w hostelu przy ulicy Lubomelskiej, należącej, rzecz jasna, do jego ojca.

Warunki panujące w hostelu nie zadowolilyby nawet niewymagającego polskiego turysty, ale dla większości przybyszy z Kenii fakt, że z kranu w dowolnym momencie leci woda, był nie do przecenienia. I wcale nie przeszkadzało im to, że umywalka była nie większa od dłoni.

Gdy Krzysztof i Aleks Grzegorzewscy dojeżdżali już prawie do skrzyżowania z Doświadczalną, ich uwagę zwróciły światła wozów policyjnych i tłumek ludzi w niedalekich zaroślach.

– Ciekawe, co tam się stało – powiedział ojciec, rzuciwszy na moment okiem w prawą stronę, po czym wrócił do czytania wiadomości w smartfonie.

– W domu zobaczę, co piszą – odrzekł syn. Po chwili podjechali pod dom.

*

– A pana poprosimy o zgłoszenie się jutro do komisariatu na Gospodarczej. Dam panu wizytówkę. Najlepiej około dziesiątej. Może pan? To dobrze. Na dyżurce powie pan, że do mnie. Kozicki. Do zobaczenia – aspirant sztabowy Łukasz Kozicki oddał Dariuszowi

Cieplikiem dowód osobisty, wręczył wizytówkę odbitą na ksero, po czym pozostawił go samemu sobie. Nikt więcej się nim nie interesował, tak więc po trzech godzinach oględzin zwłok i wstępnych czynności procesowych potruchtał do domu na nieco spóźnioną kolację.

Prokurator zaoferował lekarzowi podwózkę do domu. Technik z fotografem też pojechali razem.

– Jak myślisz, kurwa? – zapytał policyjny specjalista od fotografii Marek Kosiorek.

– Nie wiem, się okaże. Chłopaki z operacyjnego rozpuszczą wici wśród swoich konfitur, to będziemy wiedzieć. Ładna była laska, to kto wie... – zamyślił się starszy sierżant Paczkowski.

– Może nasi, którzy chodzą do burdeli, rozpoznają ją na zdjęciu?

– Na pewno ci się który przyzna... Byłaby niezła beka, jakby potem gdzieś któraś żona przeczytała, że „w denatce funkcjonariusz rozpoznał znaną mu prostytutkę”, he he he. Poza tym, kogo z nas stać na kurwy? Chyba tych z samej góry... – dalej ponarzekali razem na temat sytuacji płacowej w polskich służbach mundurowych. Nawet nie zauważyli, kiedy dojechali do komisariatu.

Wstępne oględziny pozwoliły na stwierdzenie, że zwłoki należały do obywatelki Białorusi, Tatsiany Bortsevich, lat dwadzieścia cztery. Świadczyła o tym znaleziona w torebce karta stałego pobytu, wydana rok temu przez Wojewodę Lubelskiego. Jako adres zamieszkania podany był jeden z domów studenckich w miasteczku akademickim. Najprawdopodobniej zginęła od uderzenia w tył głowy, zadanego z ogromną siłą, ale to miała wyjaśnić sekcja zwłok. Nic nie wskazywało na to, by ciało zostało przywleczone skądinąd, tak więc tragedia musiała rozegrać się właśnie tu. Jeśli motywem zabójstwa był rabunek, to udał się tylko częściowo, bo o ile ofiara nie miała przy sobie telefonu, o tyle w jednej z kieszeni torebki znaleziono sporą ilość pieniędzy w gotówce. Zastanawiające było to, że denatka miała torebkę przy sobie, chociaż były wyraźne ślady pospiesznego plądrowania. Wstępnie wykluczono także motyw seksualny. Wokoło nie widać było śladów walki.

Sprawa była o tyle dziwna, że do zabójstwa musiało dojść w biały dzień, w miejscu doskonale widocznym z jezdni, niedaleko od centrum handlowego, w miejscu dość uczęszczanym. Białorusinka zginęła niedaleko ścieżki, którą każdego dnia przemierza wielu biegaczy, rowerzystów, właścicieli psów ze swoimi pupilami oraz zwykłych pijaków. Niestety teren nie był objęty monitoringiem miejskim, co dodatkowo komplikowało sprawę.

Policjanci, którzy zostali wyznaczeni do badania sprawy, w pierwszej kolejności postanowili odwiedzić akademik, w którym – według dokumentu znalezionego przy zwłokach – mieszkała ofiara. Ale to dopiero nazajutrz.

2. Lublin, kilka miesięcy wcześniej

Ernest Czarnowski postanowił poznawać Lublin chodząc po nim, biegając i jeżdżąc rowerem. Od czasu do czasu wsiadał w autobus jadący nad Zalew Zemborzycki, by okrążyć go truchtem i wrócić do miasta wzdłuż Bystrzycy, a potem, przez wąwozy, doczłapać (określanie tej czynności bieganiem po kilkunastu kilometrach byłoby mocno na wyrost) na Sławinek, gdzie od niedawna mieszkał. Samochodem jeździł tylko w razie konieczności.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI